

Henryk Markiewicz

MOJE ZDZIWIENIA

Abstract

MY MARVELLINGS

Moje zdziwienia/My Marvellings/ is a column run by Henryk Markiewicz, retired Professor of the Jagiellonian University and one of the most outstanding Polish literary historians and theoreticians. In his essays, Professor Markiewicz presents and discusses various literary theory publications, comments on current events at the academia, argues with and questions authors of scholarly and popular articles, all the time being indefatigable in his insistence on respecting standards of academic professionalism, competence, honesty and responsibility for judgments and opinions expressed. This time Markiewicz focuses his critical attention on: Marek Piechota's book about the work of Adam Mickiewicz, Lena Magnone's article about Maria Konopnicka's poem *Rota*, and Krzysztof Zajas's article about theory of interpretation.

Zdziwienie i troska

Książka prof. Marka Piechoty „*Słowo to cały człowiek*”. *Studia i szkice o twórczości Mickiewicza* (Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Katowice 2011) jak mało która nadaje się do omówienia w tej rubryce. Zdziwiała ona bowiem występującymi w niej cechami pisarstwa historyczno-literackiego. Nie są to cechy dziś rzadko spotykane, tu jednak pojawiły się w niepowzednim skupieniu i nasileniu. Jest to przy tym książka nie jakiegoś debiutanta, ale wytrawnego badacza, który od trzydziestu lat zajmuje się twór-

czością Mickiewicza, a zarazem kogoś, kto ma wysoką świadomość i wrażliwość literacką, czego dowodem (piszę to bez cienia ironii) jest jego „bestiariusz heroikomiczny” *Zoofioty* i satyryczne piosenki pisane dla kabaretu Olgi Lipińskiej. Praca ta przyciągnęła moją uwagę także dlatego, iż zainteresowania naukowe autora są mi bliskie i nieraz zajmowaliśmy się tymi samymi tematami, ujmując je z podobnego punktu widzenia. Toteż z przykrością przychodzą mi twarde niekiedy słowa, które muszę w tym szkicu pod adresem autora skierować.

Książka zawiera trzynaście artykułów, ogłoszonych poprzednio (czasem w nieco odmiennej wersji) w różnych wydawnictwach zbiorowych. Podtytuł nazywa je studiami i szkicami. Większość z nich jednak trzeba nazwać przyczynkami, w znaczeniu, jakie temu wyrazowi przypisuje *Słownik terminów literackich* (Wrocław 1998, s. 450): są to prace „zwykle o charakterze materiałowym, dotyczące wąsko zarysowanego problemu, uzupełniające wiedzę w danej dziedzinie nieznanymi szczegółami”. W tytułach ich pojawiają się nie bez racji określenia: „Kilka słów...”, „Na marginesie...”, „Jeszcze o...”. Targetem tych tekstów, jak to się dzisiaj mówi, są najwidoczniej inni historycy literatury, którzy sięgną po nie albo z czystej ciekawości, albo z potrzeby, jeśli sami pracują nad podobnymi problemami. Można przypuszczać, że odbiorcy tacy, przytłoczeni stosem książek starych i nowych, które powinni znać, a nie mają czasu przeczytać – będą oczekiwać tu relacji zwieżłej i trzymającej się tematu.

Tymczasem Piechota oczekiwań tych nie spełnia. Przede wszystkim w wywody swe wplata z upodobaniem, rozlewnością i swadą rozmaite dygresje autoprezentacyjne, a zwłaszcza autotematyczne. Przypomina w nich swój dorobek naukowy (s. 196–197), najczęściej jednak opowiada o przebiegu pracy badawczej nad omawianym tematem. Czytamy więc np. jak to, obciążony obowiązkiem ćwiczeń dla początkujących studentów, wpadł na pomysł, by analizować z nimi *Sonetę wojenne* Stefana Garczyńskiego. W toku przygotowań do tych zajęć zainteresował się anonimową przedmową do wydania z roku 1866. Nasunęło mu się wtedy przypuszczenie, że autorem jej jest Mickiewicz. I wtedy:

Rzucam się natychmiast, by sprawdzić, czy tekst ten był drukowany w jakichkolwiek edycjach dzieł Adama Mickiewicza, zrazu sięgam po Wydanie Jubileuszowe, które jest ozdobą podręcznego księgozbioru kierownika Zakładu Historii Literatury Oświecenia i Romantyzmu w jego gabinecie na czwartym piętrze w budynku przy pl. Sejmu Śląskiego 1, w pokoju o symbolicznym numerze 404; mam szczególny sentyment do tego wydania, bo udało mi się je zdobyć w antykwariacie, dawno, dawno temu, za zaledwie trzy czwarte pensji starszego asystenta. Dlaczego tak tanio? Gdyż było zdekompletowane, bez tomu drugiego (*Poematy*). O tom ten uzupełniłem zbiór dzięki życzliwości prof. Jerzego Paszka, który miał pierwsze cztery tomy edycji i wymienił tom drugi na analogiczny z Wydania Narodowego (kilka pierwszych tomów tej edycji wniosła szczęśliwie do naszego księgozbioru z zasobów domowych moja żona Małgorzata) (s. 205).

By nie nadużywać cierpliwości czytelników przerywam w połowie tę gawędę filologiczno-pamiętnikarską, o której sam autor pisze, że „niebezpiecznie zaczyna się zbliżać do narracji w rodzaju zaproponowanym przez Jarosława Marka Rymkiewicza” (s. 205). Dodam jednak, że wzmiance o „symbolicznym numerze 404” towarzyszy przypis-dygresja, by tak rzec, drugiego stopnia:

Życzliwi twierdzą, że nieprzypadkowo gabinet kierownika Zakładu nosi Mickiewiczowską liczbę czterdzieści i cztery (40 i 4), złośliwi, ale tych jest na szczęście znacznie mniej, rozpowszechniają interpretację, że gdyby nie zero w środku, byłaby to w rzeczywistości Mickiewiczowska liczba 44.

Co zaś do pokrewieństwa z Rymkiewiczem – u niego mamy do czynienia ze swobodnym, eseistycznym „żmutem”, tu – z referatami prezentowanymi na konferencjach naukowych. A przy tym – jakby to grzecznie powiedzieć? – „nie każdy weźmie po Bekwarku lutniej”...

Analizowany tu passus zabarwiony jest humorystycznie – zakładam, że świadomie. W jeszcze większym stopniu cechuje to pewną dygresję w szkicu *Czy Mickiewicz czytał poetów z Tybetu?*. Autor znalazł w artykule Anny Jaksy o *Tybetańskich sportach psychicznych* opis zdolności wytwarzania ciepła przez tamtejszych pustelników, znajdujący się w poemacie Milarepy z XI wieku¹. I wtedy

[...] ogary filologicznych przyzwyczajzeń podjęły już trop, poszły w las domysłów, zanurzyły się w gęstwą przypuszczeń, pomknęły w ciemną knięję mniej lub bardziej nieprawdopodobnych skojarzeń i poczęły osaczać zwierza bliżej nieokreślonej rasy. Pognają aż do matecznika owej literackiej kniei, która powinna dostarczyć rozbudzonej już wyobraźni zwierzę odpowiedniego rozmiaru, by pokot był godny marzeń myśliwego. Usłużna pamięć podpowiada: *Dziadów część IV*, Książd zaprasza gościa – Pustelnika, nie rozpoznając go zresztą jeszcze (w tej roli pojawia się znany nam już wcześniej Gustaw), zaprasza go, aby ten siadł przy kominku, ogrzał się i odpoczął (s. 223),

a pustelnik ten, opowiada, że własnym ciałem wytwarza wewnętrzny ogień. Okazuje się jednak, że nęcącą hipotezę o możliwym wpływie Milarepy trzeba porzucić (z jakich powodów – o tym będzie jeszcze mowa). Ale owych ogarów autor w swych ubolewaniach nie porzuca:

Jakże dorodne – w chwili rozwijania tej metafory – ogary literaturoznawczych przyzwyczajzeń skarłały i przekształciły się nieoczekiwanie (wyobraźnia, zwłaszcza po lekturach tekstów romantyków, płata nam niekiedy i takie figle) w pozostałości okazałych świec, które mądrość ludowa zaleca palić zbuntowanym aniołom, władcom ciemności, strażnikom ognia piekielnego. Ogarki zgasty wraz (s. 226).

Nie dosyć na tym. Przy ostatnim zdaniu pojawia się w przypisie dygresja drugiego stopnia:

¹ Piechota stosuje inną transkrypcję tego imienia – pisze „Milarespa”.

To pierwsze zdanie kultowej swego czasu na Wydziale Filologicznym powieści o dominującym wątku kryminalnym autorstwa prof. Jerzego Paszka, będące równocześnie kunsztowną aluzją (jak przystało na wybitnego żeromskologa i aludanta – znawcy teorii i praktyka) do introdukcji jednej z ulubionych jego powieści – *Popiołów*. Nawet liczba sylab (i większość tworzących je samogłosek) się zgadza. Niestety, moja znajomość dzieła nie wyszła poza to jedno zdanie, nie byłem wówczas nawet habilitowany...

Wydaje się, że Piechota jest z tych dygresji bardzo zadowolony. Wprowadzając je, prawdopodobnie liczył na to, że powiększą one atrakcyjność czytelniczą jego tekstów. Nie wiem, czy ten hipotetyczny cel osiągnął. Mnie takie wielosłowie i rozpychanie się autora niecierpliwi, bo opóźnia i zakłóca tok informacyjny, jakiego oczekuję.

Ale dygresja autotematyczna to tylko jedna z odmian żywiołu dygresyjnego, wszechobecnego w tej książce. Przyjrzyjmy się artykułowi *Autorzy nowożytni w „Wykładach lozańskich” Mickiewicza*, opatrzonego zresztą podtytułem *Z dygresją o prowincjach i prowincjonalizmie*. Najpierw na dziesięciu stronach czytamy o okolicznościach powstawania owych wykładów, potem o egzaminie magisterskim Mickiewicza, na którym pytano go głównie o urządzenie rzymskiej prowincji w starożytności (cztery strony), o prowincjonalizm w twórczości Mickiewicza (pięć stron), „kłopotach z Grotfendem” (o tym dalej) i wreszcie o autorach nowożytnych (sześć stron). Właściwie więc należałoby tu mówić nie o kompozycji dygresyjnej, lecz o montażu różnych, luźno się kojarzących tematów, może o sylwie, a żartując – nawet o bigosie historycznoliterackim.

To samo można powiedzieć o większości prac tego tomu. Dla przykładu omówię tu jeszcze artykuł *Mickiewicz wobec „czasów szwedzkich”*. Autor zaczyna z daleka – nie wiadomo, dlaczego dyskutuje z Julianem Krzyżanowskim, który twierdził kiedyś, że *Potop* w tytule powieści Sienkiewicza odnosi się nie do najazdu szwedzkiego, lecz do ludowej partyzantki przeciw najeźdźcy. Interpretacja ta nikogo nie przekonała i została zakwestionowana zaraz po jej pojawieniu się w roku 1971. Po cóż było tu ją przypominać? Równie bezużyteczny w danym kontekście wydaje się rejestr użycia przez Mickiewicza wyrazów „potop”, „arka”, „korab”, „Noe”, łatwy zresztą do zrobienia dla każdego, dzięki *Słownikowi języka Adama Mickiewicza*. Dopiero po tych dwunastostronicowych przygotowaniach na ostatnich siedmiu stronach referuje Piechota występowanie tematu tytułowego w twórczości Mickiewicza.

Niektóre artykuły (np. o perypetiach *Ody do młodości* z cenzurą, o udziale kolegów Mickiewicza w wydaniu *Poszły* czy o przyczynach jego milczenia) w swej części pozadygresyjnej powtarzają rezultaty dotychczasowych badań. Czasem nowością jest jakiś szczegół, np. że Mickiewicz był autorem zaledwie części jednego zdania z przedmowy do tomiku *Wspomnień wojny narodowej i sonetów wojennych* Garczyńskiego.

Splendor z tego niewielki – pisze Piechota – ale przynajmniej wolno skonstatować (proszę wybaczyć to westchnienie w tonacji autorecenzji), że sporo filologicznej pracy nie poszło na marne (s. 196).

Kto przeglądał przedwojenne zeszyty „Ruchu Literackiego”, pomyśli sobie, że takie małe odkrycia kwitowano wtedy kilkunastozdaniową informacją w dziale „Notatki”. Teraz docieramy do niej dopiero po lekturze piętnastu stron preliminaryjnych.

Te własne ustalenia autora bywają niestety tyleż skromne, ile banalne. I tak w artykule *Jeszcze o relacjach rodzinnych w „Konradzie Wallenrodzie” Mickiewicza* po dziesięciu stronicach poświęconych różnym innym sprawom związanym z tym poematem Piechota konstatuje „ubóstwo relacji rodzinnych” bohatera poza małżeństwem z Aldoną, po czym po prostu dzieje tej miłości i małżeństwa w streszczeniu przypomina czytelnikom².

Podobne zastrzeżenia wysunąć można wobec wspomnianego już artykułu *Autorzy nowożytni w „Wykładach lozańskich”*. I tutaj dopiero w ostatniej sekwencji, zatytułowanej słusznie *I wreszcie o autorach nowożytnych*, wypowiada się autor na temat wymieniony w tytule. Sporządza spis stu kilkudziesięciu nazwisk tych autorów i przepisuje dwa fragmenty wykładów; w jednym z nich Mickiewicz krytykuje holenderskich humanistów XVI wieku, w drugim chwali pisarzy francuskiego klasycyzmu. I tylko tyle – bo więcej na ten temat powiedzieć nie można. Kogo by interesowało występowanie autorów nowożytnych w wykładach lozańskich, ten i bez pomocy Piechoty, a z niewielkim trudem, może to samo co on zrobić.

W kilku pracach wprost przeciwnie – pojawiają się tezy czy hipotezy arcyryzykowne lub wręcz kontrfaktyczne. Już na pierwszym miejscu figuruje w tomie rozprawa pt. *Rozczarowanie filomatów Imperatorskim Uniwersytetem*. Tytuł ten sam autor podważa, pisząc w kilometrowym zdaniu:

Intuicja podpowiada, że zamiast inicjalnego ‘rozczarowania’ w tytule tego szkicu równie dobrze mogłoby się pojawić słówko ‘niedosyt’, bo przecież – jak wolno się domyślać – głównie z niezaspokojenia głodu wiedzy i z niewątpliwego rozczarowania uniwersytecką ofertą, dotyczącą zakresu studiowanych przedmiotów, metod poznawania wyznaczonych przez mistrzów materiałów i sposobów egzekwowania stopnia opanowania poszczególnych dyscyplin, zrodziła się wśród grona rówieśników (lub niemal rówieśników) Adama Mickiewicza chęć stworzenia w Imperatorskim Uniwersytecie Wileńskim, jeśli to możliwe, albo poza jego murami i legalnymi strukturami, studenckiego ruchu o charakterze przede wszystkim naukowym (s. 23).

² Piechota dołącza tu jeszcze dziwaczny przypis: „Podczas sympozjum w Cieszynie [...] referat kończyłem zdaniem okolicznościowym, mającym wartość historyczną: «Oczywiście, doskonale zdaję sobie sprawę z istotnego dla omawianych tu kwestii faktu, iż wygłaszam ten tekst podczas konferencji naukowej w początkach grudnia roku 2008, gdy odbywa się ostatni w Rzeczypospolitej pobór do wojska w ramach powszechnego obowiązku tej służby i zastąpienia jej formacją zawodową»” (s. 179).

Taki domysł uprawnia Piechotę do uznania rozczarowania filomatów za niewątpliwe. By mówić jednak o rozczarowaniu, trzeba wiedzieć, jakie było oczekiwanie, a tego nie wiemy. Filomaci o żadnym rozczarowaniu w swej korespondencji nie piszą. Ich rozprawki krytycznoliterackie świadczą o tym, że sporo studiom uniwersyteckim zawdzięczali. Na domysł swój nie ma więc Piechota przekonywających dowodów. W tej sytuacji wajuje artykuł znanymi skądinąd wiadomościami o edukacji Mickiewicza, działalności filomatów, literackiej tematyce ich zebrań itp. Są tu także inne ingrediencje, jak np. taki oto passus bez żadnego związku z tematem:

Dla elegancji wywodu, ze względu na modny dziś parytet płci, wspomnieć wypada, że także po stronie matki przyszłego poety trafiali się przodkowie dziarscy, porywczy i bitni (s. 19) –

i tu autor wymienia ich nazwiska, i opowiada o ich wyczynach...

Inny przykład – trzeba powiedzieć – karkołomnych przypuszczeń przynosi blisko dwudziestostronicowa rozprawa *Saplicowie – Sopllicowie*. (Na marginesie pewnej odręcznej notatki w XVIII-wiecznej „Etyce chrześcijańskiej” Wincentego Houdry’ego). W egzemplarzu tym, który przypadkiem dotarł do rąk badacza, znajduje się łacińska rękopiśmienna wklejka z roku 1761, stwierdzająca, że prowincjał zakonu Braci Mniejszych Obserwantów „Vincentius Saplica” pozwala na korzystanie z tej książki bratu „Hyacinto Sawicki”. Po wstępnym eseju na temat „habent sua fata libelli” i po długich wywodach, w których mowa o wileńskiej bibliotece bernardynów, gdzie znalazł się ten egzemplarz *Etyki*, o formach „Saplica” i „Saplicowo” występujących w rękopisie poematu, o powinowactwach postaci Jacka Soplipy z rzeczywistym Janem Saplicą i Bazylim Mickiewiczem, o biografjach obu wspomnianych zakonników, o wielu innych sprawach autor konkluduje:

Zapewne nigdy już nie dowiemy się, czy Mickiewicz mógł widzieć interesującą nas tu inskrypcję, czy mógł słyszeć około roku 1820 o dawnych, sprzed czterdziestu i sześćdziesięciu lat prowincjałach zakonu bernardynów. A jednak jest coś metafizycznego w tym, że bohaterowi swego literackiego (fikcyjnego) arcydzieła nadał imię jednego z nich i nazwisko drugiego. Jeśli to przypadek, to mamy prawo nazwać go przypadkiem po wielekroć szczęśliwym (s. 121–122).

Co w tej zbieżności metafizycznego i dlaczego przypadek ten miałby być przypadkiem „po wielekroć szczęśliwym” – trudno się domyślić. Ale chodzi o co innego. Pytam, czy można na serio traktować hipotezę, która zakłada, że Mickiewicz zainteresował się *Etyką* Houdry’ego, że miał w ręce akurat ten jej egzemplarz, że zwrócił uwagę na ową wklejkę, że po dziesięciu latach pamiętał jeszcze imiona i nazwiska w niej figurujące, zwłaszcza że we wklejce pojawia się nie polski Jacek, lecz grecko-łaciński Hiacynt? Przecież to świetny materiał na parodię badań genetycznych! Kto jak kto, ale Piechota powinien zdawać sobie z tego sprawę.

Równie zadziwia szkic *Ikaryjskie inkrustacje Mickiewicza*. Na wstępie autor przyznaje, że „Mickiewicz nigdy w mowie i pismach, które dotarły do naszych czasów, nie wspomniał o Ikarze i Dedalu”. Mimo to spokojnie kontynuuje: „A jednak wypada podjąć wyzwanie i dokończyć tekst o ikaryjskich inkrustacjach” (s. 71; w rzeczywistości nie zaczął jeszcze o nich mówić). Przyrzeczenia tego jednak nie spełnia. Kluczy i pisze o czymś innym, ogólniejszym: śledzi mianowicie motyw lotu w poezji Mickiewicza (o czym już wcześniej pisał Dariusz Tomasz Lebioda). Jest to z reguły lot fortunny, zwycięski, a więc o konotacjach wprost przeciwnych lotowi Ikara. (Jedyny Mickiewiczowski obraz poetycki, który można by z lotem Ikara od biedy powiązać, to słowa Konrada z *III części Dziadów*: „I ze mną tu, leć w głębię, w ciemność – lećmy na dół – Otchłań – otchłań ta lepsza niżli ziemi padół”. Ale Piechota tego właśnie cytatu nie dostrzegł). Mimo to upiera się przy swoim koncepcie, jak można wywnioskować ze zdania: „Niekiedy sam motyw lotu w tekście Mickiewiczowskim nie wydaje się – na pierwszy rzut oka – ikaryjską inkrustacją, rzadkiej piękności intarsją” (s. 79). Zdanie to chyba należy rozumieć tak, że przy bardziej starannym oglądzie tekstów Mickiewicza ukażą się owe inkrustacje czy intarsje. Są to określenia metaforyczne, więc nieprecyzyjne. W każdym razie implikują one jawne występowanie na powierzchni, a przecież już na wstępie autor takiej obecności motywu Ikara u Mickiewicza zaprzeczył³.

Marek Piechota tak lubi i ceni swą pracę, że opowiada również o niepowodzeniach badawczych, np. o tym, że mylił się, przypuszczając początkowo, iż całość przedmowy do *Sonetów wojennych* Garczyńskiego wyszła spod pióra Mickiewicza. Piechota był przekonany, że to niby rewelacyjne, a w rzeczywistości fałszywe mniemanie on pierwszy powziął. Tymczasem – jak twierdzi Pigoń – które mniemanie owo właśnie obalił – od lat przypisywano przedmowę Mickiewiczowi. Że to mniemanie mylne, dowiedział się Piechota z komentarza Zygmunta Dokurny w tomie V Wydania Rocznicowego z roku 1996, który powtórzył ustalenia Pigionia zamieszczone już w tomie V Wydania Sejmowego z 1933 roku. Piechota tłumaczy się, że do edycji tej nie dotarł, bo nie ma jej w bibliotece wydziałowej! Ale wątpliwość powstałaby u niego, gdyby zajrzał tam, gdzie zajrzeć należało na początku – do *Bibliografii polskiej XIX wieku*. Estreicher w nowym wydaniu z roku 1975. Tu bowiem, w zapisie dotyczącym *Wspomnień i Sonetów* znalazła się uwaga, że przedmowa ta jest „złożona ze wspomnień pióra A. Mickiewicza (a właściwie Ign. Domeyki) oraz Arnolda i Stanisława Skórczewskiego”.

³ W dalszym ciągu swego wywodu autor twierdzi, że wiele zależy tu „jak się zdaje od dokonanego przez badacza wyboru narzędzi interpretacji”, po czym daje przykład Zgorzelskiego, który w wierszu *Do przyjaciół Moskali* uwypatnia dyscyplinę myślową, a w *Epilogu do Pana Tadeusza* swobodną naturalność, ale z badaczem tym częściowo polemizuje. Nie widzę tu związku z dyskutowaną w tekście obecnością „protoposu ikaryjskiego” w poezji Mickiewicza. W sprawie tej Piechota wypowiada się tu ostatecznie ostrożniej – przyznaje, że nie wszystkie zaproponowane przez niego „aspekty ujęć motywu” poetyckiego są zakorzenione właśnie w owym protoposie.

Opowiada też Piechota – jak już wspomniano – o swych niefortunnych przypuszczeniach, jakoby teksty Milarepy inspirowały Mickiewicza, gdy pisał o ogniu wewnętrznym Gustawa z *IV części Dziadów*. Próbując odpowiedzieć na postawione w tytule artykułu pytanie: *Czy Mickiewicz czytał poetów z Tybetu?* (w tym wypadku Milarepę), nie zadał sobie bardziej elementarnego pytania, czy Mickiewicz w ogóle mógł czytać Milarepę. Gdyby nie poprzestał na lekturze wspomnianego artykułu Jaksy *Tybetańskie sporty psychiczne*, lecz trochę więcej się potrudził i sięgnął do polskiego przekładu *Opowieści o życiu Milarepy* (1996), dowiedziałby się ze wstępu Ireneusza Kani, że pierwsze próbki twórczości tybetańskiego poety stały się w Europie znane (dzięki przekładowi niemieckiemu) dopiero w roku 1869, a więc w czternaście lat po śmierci Mickiewicza! Piechota o tym nie wie. Pociesza się, że idąc fałszywym tropem, jednak znalazł „nieoczekiwaną prawdę”. Jeśli dobrze zrozumiałem jego artykuł, zrezygnował on ze swej hipotezy, dowiedziawszy się z rozprawy Konrada Górskiego, że wewnętrzny ogień to banalny topos poezji antycznej. Rezygnacja ta była zbyt pochopna. Przecież wpływ toposu antycznego wcale nie jest pewny, a inspiracji tybetańskiej, acz mało prawdopodobnej, nie trzeba było odrzucać, jeśli, jak Piechota, nie znało się dat europejskiej recepcji Milarepy.

Badacz wymienia także inny pożytek wyniesiony z nieudanego – jak to nazywa – „eksperymentu”; a mianowicie wniosek, że „umiłowanie literatury może okazać się drogą do poznawania siebie, drogą do podążania ku doskonałości, do prawdy” (s. 226). Zapewne, ale dążenie do tych szlachetnych celów poprzez hipotezy ewidentnie kontrfaktyczne to droga dość okrzęna...

Gdy mowa o niepowodzeniach badawczych Piechoty, warto przyrzec się jeszcze ekskursowi w artykule o *Wykładach lozańskich* zatytułowanemu *Kłopoty z Grotefendem*. Rzecz w tym, że Mickiewicz, przygotowując się do tych wykładów, prosił Bronisława Trentowskiego w liście z 9 września 1849 roku, by dowiedział się, ile kosztuje „gramatyka [tu wyraz nieczytelny] albo Grotefend”. Stanisław Pigoń w komentarzu do tomu II *Listów* w Wydaniu Narodowym (1954) domyślał się, że chodzi tu o pracę *Ausführliche Grammatik der lateinischen Sprache* (1829) Georga Friedricha Grotefenda lub może tegoż autora *Grössere lateinische Grammatik* (Frankfurt 1824) (Piechota tę informację przeoczył). Za Pigońem powtórzyła oba tytuły Maria Dernałowicz w *Kronice życia i twórczości Adama Mickiewicza* (1996). W *Słowniku języka Adama Mickiewicza* natomiast Grotefend otrzymał imię Friedrich August. Ta rozbieżność tak dalece Piechotę zaintrygowała, że zaczął szukać Grotefendów w czterech polskich encyklopediach, ale nic tam o gramatykach nie znalazł, i to swoje rozczarowanie udokumentował, nie wiadomo po co przedrukowując *in extenso* owe hasła w swym artykule. Do niemieckich encyklopedii i słowników biograficznych nie sięgnął. Zaczął natomiast szukać w Internecie. „Solidne zreferowanie tej współczesnej dżungli informacyjnej, bogatej w konkretne skarby, ale też wielokrotnie zasobniejszej w artefakty wątpliwej wartości, objęłoby kilkadziesiąt stron wydruku” (s. 144) – narzekał.

Nie wiem, jak szukał Piechota, mnie udało się po wpisaniu w wyszukiwarce Google słów „Grotefend” i „Grammatik” uzyskać od razu informację, że obaj Grotefendowie opublikowali, każdy po dwie, gramatyki łacińskie pod zbliżonymi tytułami. Jednoznaczna identyfikację można natomiast znaleźć gdzie indziej – tam, gdzie należało zacząć poszukiwanie, tj. w tomie VII Wydania Sejmowego (1936). W dziale „Dodatek” w opracowaniu Jerzego Kowalskiego, wśród notatek samego Mickiewicza znajdują się dłuższe cytaty łacińskie wzięte z *Grössere lateinische Grammatik* (1824) G.F. Grotefenda. I już po kłopotach z Grotefendem... Kłopoty te zresztą Piechota sam sobie niepotrzebnie zgotował – bo do omówienia obecności autorów nowożytnych w *Wykładach lozańskich* identyfikacja autorstwa gramatyki była zupełnie zbędna. Jak widać, zapałowi Piechoty do detektywistycznej hipermikrologii nie dorównują jego heurystyczne umiejętności.

*

Książka ta ukazała się w ramach prac naukowych Uniwersytetu Śląskiego, w serii „Historia Literatury Polskiej” redagowanej przez samego Marka Piechotę. Poszczególne artykuły w niej umieszczone były jednak przed ich pierwodrukiem w wydawnictwach zbiorowych recenzowane przez wybitnych literaturoznawców (od Zofii Stefanowskiej i Czesława Hernasa poczynając), książkową całość recenzował nadto Zbigniew Sudolski. Ma więc ona za sobą akceptację wczorajszej i dzisiejszej polonistyki uniwersyteckiej. Mimo to myślę z troską o pisarstwie historycznoliterackim, które by poszło torami Marka Piechoty.